



Widzimię - felieton Ryszarda Kozika

2021-03-03

Hu hu ha, hu, hu, ha, czyli kto zabroni tacie-koniowi pomarzyć

- Jedź, koniu, jedź! - woła Zuzia. Jako dziecko wychowane w mieście nie zna zwrotu „wio!”, ale dziś także większość dzieci dorastających na wsi nie widziało nigdy konia na oczy. Więc ruszam i lawirując pomiędzy zaspami, szukam trasy, którą moglibyśmy dotrzeć na sankach z domu do przedszkola. I oczywiście z powrotem, ale to już kilka godzin później.

Zuzia ma cztery latka (nie dajcie się jej nabrać, że już niedługo będzie miała pięć - jest z listopada), a śniegiem tak naprawdę po raz pierwszy może się trochę nacieszyć dopiero tej zimy. Po części dlatego, że moje dziewczynki zdecydowanie mniej teraz chorują (to jeden z nielicznych pozytywnych ograniczeń antypandemicznych). Powód podstawowy jest jednak taki, że od kilku lat zimy w Krakowie nie miewaliśmy, a jak już się śnieg na kilka dni pojawiał, to np. w okolicy Świąt Wielkanocnych.

Powoli nawet zaczęliśmy się przyzwyczajać do tej nowej sytuacji, która - jeśli nie jest się miłośnikiem „białego szaleństwa” (to mój ulubiony zwrot ze słownika komentatorów sportów zimowych) - ma sporo plusów. Zdecydowanie lżej się ubieramy, rzadziej chorujemy, buty nam nie przemakają i nie musimy ich czyścić z nalotu z soli. Kierowcy nie muszą odśnieżać aut i skrobać szyb, rowerzyści mogą w miarę komfortowo jeździć przez cały rok. I tylko na sankach nie poszalejesz.

No ale w tym roku się odmieniło i nie możemy już czuć się jak południowcy. Nie wszyscy dopuszczają do siebie tę informację i grupki zagubionych „morsów” snują się po polskich górach niczym skandynawskie zespoły metalowe po lasach (kto oglądał teledyski, rozumie). Pozostali dzielą się z grubsza na tych, którym kilka, kilkanaście stopni poniżej zera niestraszne, oraz tych tęskniących za latem i wieszczących zimę stulecia. W XXI w. o tytuł ten faktycznie może być dość łatwo. Widać to też z perspektywy budżetu Krakowa, który już pobił rekord kosztów zimowego utrzymania dróg i chodników.

Dla ciągnącego sanki taty-konia oraz siedzącej na nich córeczki sytuacja też jest skomplikowana. Cieszymy się bardzo ze śniegu, a droga do i z przedszkola stała się dzięki niemu atrakcyjniejsza. Niestety przeszkadza nam to, co cieszy innych, czyli przemysłowe odśnieżanie chodników i posypywanie ich solą i piaskiem. Jedzie sobie taki pług i odgarnia cały śnieg na boki. Chodnikiem jechać więc się nie da, a zjazd na „trawę” blokują sterty śniegu. Jeśli jeszcze jest miękki, to da się po nim przejechać, jeśli zamarznie - robi się to niebezpieczne, a Zuzia za spadaniem z sanek nie przepada (widać nie zalicza go do zimowych atrakcji takich jak np. robienie aniołka).

Zimowa wyprawa do przedszkola zmienia się więc w poszukiwanie nowych dróg, niczym na szczyty wysokich gór. Może lepiej dziś pojechać drugą stroną al. Solidarności, bo tam pług nie jeździ i tylko ludzie wydeptali? A może naokoło, wzdłuż al. Przyjaźni, obok parku Ratuszowego? To rozkminy taty, rzecz jasna, bo dla córeczki najważniejsze jest po prostu, żeby dojechać na miejsce.

Widzi mi się, że ten banalny z pozoru problem wpisuje się w myślenie o zrównoważonym



transportu w Krakowie. Bo po co niby zawozić dziecko na sankach, skoro można podwieźć je autem? – zapytacie. Na przykład po to, żeby się nie przyzwyczajać do wybierania samochodu zamiast dziesięciominutowego spaceru, który i nam wyjdzie na zdrowie.

Wiem, że trudno dogodzić wszystkim i opcja, że obok odśnieżonych chodników i ścieżek rowerowych zostawiana będzie jeszcze z grubsza odśnieżona ścieżka saneczkowa, jest nierealna (już teraz – przynajmniej w mojej okolicy – albo odśnieżana jest ścieżka albo chodnik, a najczęściej trochę tego i trochę tego), ale kto zabroni tacie-koniowi pomarzyć? Zwłaszcza że takich jak on mam i tatów ciągnących codziennie w te i we w te przedszkolno-żłobkowe kuligi jest naprawdę sporo. Może więc udałoby się przynajmniej tworzyć śniegowe zaspę tylko po jednej stronie chodnika?

PS. O tym, jak bardzo zaczęliśmy się już czuć południowcami, świadczy zasłyszana rozmowa pomiędzy pewnym tatą i pewną mamą, dla których minus kilka stopni okazało się powodem do zatrzymania dzieci w domu. Hu, hu, ha, hu, hu, ha!

Ryszard Kozik – z urodzenia i zamieszkania nowohucianin, były dziennikarz „Gazety Wyborczej”, pracownik Muzeum Krakowa